

ISSN 1233-622X

WYDANIE SPECJALNE
WIADOMOŚCI LOKALNYCH

www.ZnadBiebrzy.pl

CIEKAWY MIEJSCA
- NIEZWYKLI LUDZIE

NASZE
Swojskie
KLIMATY

NIEPOWTARZALNY ARTYSTA BIEBRZAŃSKIEJ PRZYRODY

Biebrza - odkryta przez Wiktora Wołkova - ciągle inspiruje kolejnych fotografików. Właśnie mija 20 lat od ukazania się pierwszego albumu tego artysty pt. „Biebrza”. Od tego czasu ukazało się wiele wspaniałych albumów, które w tytule mają magiczne słowo „Biebrza”. Taki jest kolejny album poświęcony Biebrzy, ze zdjęciami Marka Sochy, który niespodziewanie odszedł od nas tragicznie 8 czerwca 2016 roku.



Marek Socha miał swój zakład fotograficzny w Mońkach, ale jego pasją było utrwalanie przyrody biebrzańskiej, do której miał przysłowiowy „jeden krok”. Dlatego wiele zdjęć i ujęć nas zaskakuje, mimo iż jesteśmy tu nad Biebrzą prawie codziennie. Są to zdjęcia o świcie i zmierzchu, w słoneczną i pochmurną pogodę, podczas wszystkich pór roku, a szczególnie wiosną podczas rozlewisk i przelotów tysięcy migrujących na północ ptaków. Marek przenosi nas w przyrodę i krajobrazy Biebrzę kiedy jeszcze śpiemy, o wschodzie i zachodzie słońca, w dolinę zasnutą mgłami, w dni upalne i mroźne, w miejsca, które wybrał i upodobał jako niepowtarzalny artysta biebrzańskiej przyrody.

Tak jak każdy samiec bataliona - symbol Biebrzańskiego Parku Narodowego - wiosną różnie ubarwiony i nie ma dwóch identycznych, tak samo albumy fotograficzne „biebrzańskich” fotografików są różne, mimo iż obszarem fotografii są często te same elementy przyrody, krajobrazu, czy ludzi Biebrzy.

Oglądając poszczególne zdjęcia, już na pierwszy rzut oka wiemy że pochodzą one z „Biebrzy”, bo jest to przyroda niepowtarzalna, unikalna i dzika. To słowo „dzika” jest jak najbardziej wyróżnikiem doliny Biebrzy i Biebrzańskiego Parku Narodowego.

Tylko tu możemy obcować sam na sam z przyrodą, która nas otacza, a za moment będzie także w nas. Tylko tu możemy podziwiać rozległe, aż po horyzont, panoramy krajobrazu doliny i uświadomić sobie, że pół tego świata stanowi niebo. I jeszcze kolory, różne o każdej porze roku i dnia. Biel zimy i wczesnowiosennych łąk zwanych tu bielami - ze względu na łany rzeżuchy, ale przede wszystkim osnuwające je mgły, kwietniowe żółte kaczeńce i błękit wody na rozlewiskach, wielotonalna zieleń latem i jesienne rdzawe odcienie szuwarów - to niepowtarzalne kolory Biebrzy. Tylko tu spotkamy wiele gatunków roślin i zwierząt, nie pojedynczo, ale w ilościach które zadziwiają nie tylko turystów, ale przyrodników, czyli ludzi zawodowo zajmujących się badaniem przyrody i monitoringiem.

To „zagęszczenie” gatunków i osobników, choćby ptaków na wiosennych przelotach sprawia, że „nad Biebrzą” łatwiej o spotkania rzadkich i gdzie indziej niespotykanych gatunków, a spotkanie łosia jest prawie pewne i to w różnych porach dnia i sytuacjach.

Nie wiem ile czasu potrzeba, aby wykonać to wymarzone i najlepsze zdjęcie? Czy są takie zdjęcia? Z całą pewnością mogę stwierdzić, że spośród tysięcy zdjęć wykonanych przez Marka Sochę nad Biebrzą, w albumie jest tylko kilkadziesiąt i to z trudem wybranych po selekcji. Widać w nich ogromny warsztat autora, a także wykorzystanie postępu w dziedzinie techniki.

Dziś, w dobie aparatów cyfrowych, nie martwimy się już, że zabraknie nam filmu, a przecież jeszcze niedawno robiliśmy zdjęcia czarno-białe. Nadal fascynują nas zdjęcia z pierwszych albumów **Włodzimierza Puchalskiego** „Bezkrwawe Łowy”, czy „Wyspa Kormoranów”, a przecież z Markiem byliśmy rówieśnikami tych arcydzieł polskiej fotografii przyrod-



Fotografie Marka Sochy wyróżnia piękno krajobrazów Biebrzy i światło, które potrafił pokazać w mistrzowski sposób.

Na Jego zdjęciach każdy znajdzie coś bliskiego sobie - liryzm zachodów słońca, tajemniczość zmierzchu, spokój wielkich przestrzeni, żywiołowość ptaków, dostojęstwo żurawi, a nade wszystko spokój nie niepokojonej przez człowieka przyrody...



niczej. Trzeba mieć także przysłowio- wy łut szczęścia, aby być w danym miejscu i czasie, i zrobić to niepowtarzalne zdjęcie. A przecież w przyrodzie jest tak, że następna okazja może trafić się dopiero za rok, a może już nigdy!

Drogi Marku. Ten album pozosta-

nie nie tylko pamiątką po Tobie, ale będzie też wspaniałym dokumentem biebrzańskiej przyrody, którą przekazałeś nam i naszym potomnym w swoich zdjęciach na wieki.

Andrzej Grygoruk
Dyrektor Biebrzańskiego Parku Narodowego





„Moja miłość jest jak miasto...”
R. Matusiewicz

Pogrzebana za życia?

Niegdyś dawała tykocinianom przysłowiowy chleb, stanowiła drogę handlu niemal tranzytowego, rodziła w swoich głębiach jak i przy brzegach różnorodne dary, stanowiła naturalne schronienie dla dzikiej zwierzyny oraz ptactwa, przynosiła mieszkańcom wiele radości ale i pożytku. W najgorszej biedzie ratowała od głodu i suszy... Narew - temat rzeka - a jednak zapomniany...?



Od XIX wieku Narew coraz bardziej traciła na znaczeniu, tykociniński port przestawał odgrywać ważniejszą rolę w handlu krajowym jak i zagranicznym.

Trasy rzeczne zastępowano powoli traktami bitymi - powstał m.in. tzw. „Wielki Gościńiec Lite-wski” - zaś na przełomie XIX i XX wieku upowszechnił się transport kolejowy na linii Warszawa - Petersburg.

Tykocin wraz ze swoją żywicielką zostały odstawione na boczne tory.

Po gehennie II Wojny Światowej, masowych mordach, wywózkach i prześladowaniach ze strony wyzwoliciela, jedna z ważniejszych kolebek patriotyzmu na Podlasiu traci prawa miejskie (1950). Dzieła zniszczenia dokonują przedstawiciele socjalistycznej partii P.Z.P.R., wydając decyzję o melioracji Narwi, którą przeprowadzono w latach 1974-78, niszcząc nieodwracalnie swoisty ekosystem naczyni połączonych.

Trudno tu w ogóle mówić o melioracji, gdyż termin ten oznacza równomierną regulację stosunków wodnych, natomiast poprzez odcięcie mniejszych koryt rzeki i strug - których w okolicach Tykocina było dziewięć - oraz przez wyprostowanie i pogłębienie koryta, stworzono jednokorytowy ściek odprowadzający wodę z biegiem nurtu. Gdy zorientowano się, że woda ucieka w nadmiarze, a łąki i pastwiska jak i cała dolina zaczynają wysychać -



Ciekawe miejsca - Niezwykli ludzie

wywiązują się ze swoich obowiązków nie muszę nikomu mówić. Znajomi rolnicy - także ci, którzy posiadają łąki w pobliżu głównego koryta rzeki - wielokrotnie powtarzali, że płacą za coś co w ogóle nie jest robione w obrębie ich łąk, pastwisk.

Łatwo można zauważyć to po wysuszonej dolinie rzeki, zaniku oczek wodnych, bajorek, stawów, wysychaniu wody w studniach. Tej zimy - po kolejnym suchym roku - lustro wody na większości starorzeczy było poniżej metra głębokości, a na rezerwacie ptactwa w zatoczce zaledwie w granicach połowy metra. Gdyby nie to, że zima tego roku była dla nas wszystkich łagodna, starorzeczca Narwi obfitowałyby w śnięte ryby i nieprzyjemny zapach. Tutaj ukłon w stronę Polskiego Związku Wędkarskiego. Również jestem zrzeszonym wędkarzem, ale patrząc po stanie teraźniejszej Narwi jak i jej starorzeczy oraz ich zasobach rybnych raczej nie przynosi to już żadnego honoru. Nie oszukujmy się - my tykociniacy coraz częściej wybieramy Biebrzę. A cena za kartę wędkarską w tym przypadku zamiast maleć ciągle rośnie i rośnie i rośnie. No cóż: do połowy marca zezwolenia wędkarskie na bieżący rok w naszym kole wykupili za ledwie ok 50 osób. To może o czymś świadczyć.

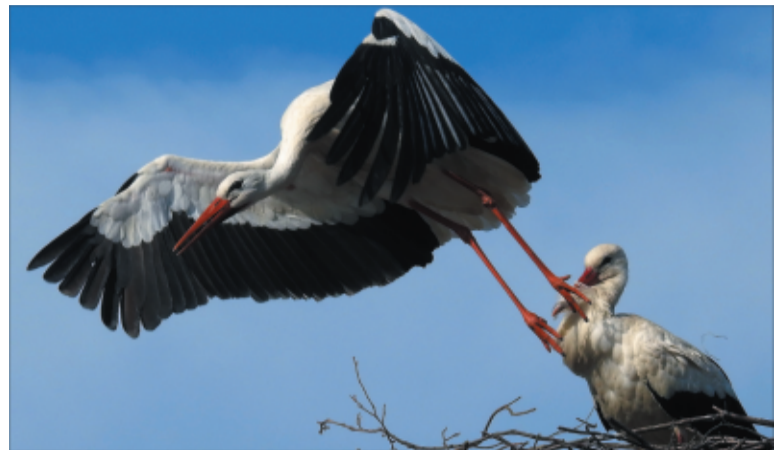
Wszystkie władze, które przez te kilkanaście lat miały i mają choćby częściowe prawa do dysponowania stanem tej rzeki na odcinku Tykocin - Kiermusy - Nieciece odwróciły się od niej plecami, jakby problemu nie było, dawno wysechł i już nawet nie śmierdzi. Prawda jest taka, że pokolenie tykocinian, którzy obecnie przychodzą na świat, przy takiej polityce wodnej, rzecznej - a właściwie braku jakichkolwiek działań - będzie znało tylko główne koryto Narwi z betonowym obskurnym jazem i rozpadającym się hotelem robotniczym po meliorantach.

A wystarczy zauważyć... że kiedy rzeka odgrywała w Tykocinie ważną rolę, miastu i jego mieszkańcom się powodziło. Kiedy status Narwi tracił na wartości, kondycja miejscowości także się pogarszała. Obecnie Tykocin prężnie rozwija się na krajowym rynku turystycznym. Nie wykorzystanie dóbr naturalnych w postaci unikatowej rzeki to olbrzymie zaniebdanie. Kilkanaście lat temu Leszek Kruszeński próbował przywrócić tętno odrodzone starorzeczca, która biegnie pod zamek do tzw. Jamy Geberta i w swych zakrętach wije się aż do byłego kąpieliska znajdującego się kilkadziesiąt metrów poniżej jazu idąc z biegiem nurtu. Przekopano z powrotem wpust z głównego koryta do nitki starorzeczca zaraz przy rezerwacie ptactwa, oczyszczono je i pogłębiono. Z notatek oraz odręcznych mapek Leszka Kruszeńskiego, który współpracował z Partnerstwem N.A.R.E.W., wynika że planowano stworzenie turystycznego szlaku rzecznej z ominięciem jazu piękną trasą rewitalizowanego starorzeczca. Do tego z wielu pomysłów wybrano priorytetowy rozwój rzecznej turystyki: szkolenie osób zainteresowanych ekoturystyką; oznakowanie przyrodniczo i historycznie cennych tras turystycznych, budowa kładek i wież obserwacyjnych; rozwój infrastruktury (pensjonaty, kąpieliska, przystanie, pola namiotowe, campingi, trasy kajakowe, konne, rowerowe, piesze, przejażdżki bryczką, wypożyczalnie rowerów).

Jak na te kilkanaście lat wstecz to był naprawdę genialny pomysł. Rzeka znów nabrałaby wartości, ale przede wszystkim życia, zaczęto by znowu o nią dbać. Powstałoby kilkadziesiąt nowych miejsc pracy, a kasę gminy zasilałyby dzisiaj konkretne wpływy z podatków. Niestety prace w pewnym momencie wstrzymano. Na końcowym odcinku nie przebito grobli do Narwi - szlak nie był drożny i ponownie zarósł.

Znowu zabrakło dobrej woli i pomocy człowiekowi, któremu coś się

RZĘKA, KTÓRA ŁĄCZY



Biebrza - bezkresne przestrzenie mokradeł - rozlewiska nieujarzmionej rzeki, tworzącej szereg malowniczych meandrów, gdzie króluje przyroda - rozbrzmiewająca na wiosnę tysiącami ptasich głosów. Raj dla miłośników przyrody i traperskiej przygody, obserwatorów ptaków i amatorów "bezkrywawych", fotograficznych łowów.

Biebrza - zwana też "Polską Amazonią" - bierze swój początek niedaleko granicy z Białorusią a kończy pod Wizną, gdzie wpada do Narwi. Aby chronić ten bezcenny teren, we wrześniu 1993 r. powstał Biebrzański Park Narodowy - z unikalną w skali europejskiej przyrodą.

Nad Biebrzą możesz w ciszy i spokoju wypocząć, popłynąć kajakiem, powędrować ciekawymi szlakami przez bagienne bezdroża, w spokoju i ciszy powędkować - wykupiwszy oczywiście wcześniej licencję na połów ryb. Tylko tutaj będziesz mógł zaobserwować i zarejestrować niezwykle zjawiska przyrodnicze.

Mikołaj Samojlik - wielki miłośnik Biebrzy i biebrzańskich bagien, pisarz, podróżnik, poszukiwacz ciekawych miejsc i legend z nimi związanych - pisał: *szczęśliwi ludzie znad Biebrzy. Chyba tak. Biebrza nosi w sobie coś, czego nie da się namalować, opisać, ująć obiektywem aparatu fotograficznego. Dotyka ona ludzkiej głębi, naszej pierwotności. Nigdzie tak, jak nad Biebrzą nie możemy "pomacać" swojego wnętrza, odnowić się. Gdy tracimy w życiu równowagę, gdy nam się kończą drogi, to wtedy warto przybyć na biebrzańskie bezdroża, przejść się po dzikich trzcinowiskach.*

Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by wyjeżdżał stąd rozczarowany, bez żalu i postanowienia, że wróci...

Krzysztof Pochodowicz

chciało dla tego miasteczka i jego mieszkańców zrobić. Warto przedstawić jednak pomysły, które były dużo trudniejsze do zrealizowania i na dodatek w miejscowościach o mniejszym na dane czasy potencjale turystycznym, czyli Korycina i Supraśl. W obu miejscowościach powstały zalewy, które już pracują na ich mieszkańców, dają miejsca pracy oraz wiele radości i pożytku. Zbiorniki umożliwiają także prowadzenie dobrej polityki wodnej, co służy wszystkim ale zwłaszcza rolnikom. Infrastruktura wokół obiektów bardzo szybko się rozwija a klientów przybywa. Turystyka kwitnie nie tylko tam, gdzie są zabytki, z czasem dla dalszego rozwoju niezbędna staje się rekreacja i rozrywka - niestety takową ofertę Tykocin praktycznie nie dysponuje.

Czy my - tykocinianie naprawdę musimy jeździć na kąpieliska do pobliskiej Góry, Korycina, a może Supraśla? Czy na spływy kajakami, tratwami, łodziami - tak żeby ich nie wlec dookoła jazu - musimy się wybierać na sąsiednie rzeki? Wędkarze - czy wolicie tylko wspominać o wielkich okazach w Narwi jeżdząc dalej na Biebrzę lub wybierając jeziora? Czy naprawdę

wolimy się mijać na promenadach i bulwarach rzecznych w pobliskich miejscowościach? Rolnicy czy dalej możecie liczyć na traf przyrody i się zastanawiać, czy ten rok przypadkiem znowu nie będzie suchy? Naprawdę? Mając takie warunki naturalne jesteśmy w stanie z tego wszystkiego nadal rezygnować kosztem „wyższych celów”? A przecież kilkanaście lat temu było kąpielisko... była wypożyczalnia sprzętu wodnego... była dobra wola mieszkańców... była...?

Zaprzepaszczono kilkanaście lat temu olbrzymią szansę na szybki rozwój ekoturystyki w ramach posiadanych dóbr naturalnych, a jednocześnie na pomoc tej Starej Przyjaciółce Tykocina.

Może jednak warto spróbować jeszcze raz? Czy naprawdę jesteśmy w stanie skazać Narew na powolną śmierć - na zrobienie z niej rezerwat wyschniętych pastwisk? Kim wtedy będziemy?

Agnieszka i Kamil Świętorzczycki
Galeria Sztuki i Smaku
„Opowieści z Narwi”
Tykocin, Plac Czarnieckiego 9

(Wiadomości Lokalne - marzec 2016 r.)

BHP BEZ STAŁYCH KOSZTÓW I COMIESIĘCZNYCH OPŁAT!

- ✓ Kompleksowa obsługa firm w zakresie BHP
- ✓ Wykonywanie zadań Służby BHP, doradztwo BHP i P.Poż.
- ✓ Przygotowanie Firmy do kontroli Państwowej Inspekcji Pracy
- ✓ Szkolenia BHP pracowników i pracodawców (wszystkie)
- ✓ Instrukcje Bezpieczeństwa Pożarowego, badania środowiska pracy, inst. elektrycznych, kominowych i inne
- ✓ Gaśnice i sprzęt. p.poż.

ZADZWOŃ **511 797 444**

10 % zysku z tej reklamy - na Psie Przytulisko Króla Biebrzy!

Nasze Swojskie Klimaty

PRZYGODY BOBERKA

Boberka spotkanie z wydrą...



foto: Paweł Szwajtkiewicz

Czas mijał nieubłaganie. Powoli nadchodził maj. Miesiąc, w którym wiosna pokazuje swoje jeszcze bogatsze oblicze. Mieszko jednego razu poszedł szukać swoich przyjaciół, ale nigdzie ich nie mógł odnaleźć. Płatał się tu, to tam, nie do końca wiedząc, co ze sobą zrobić. Wydawało mu się, że wszystkie pewne miejsca już zaliczył, rozmaite łąki i bagna, jednakże nigdzie nawet śladu nie było po obecności losi. Ostatecznie odwiedził bociana Wojtkę i innych ptasich znajomych. Czuł się trochę samotny, lecz postanowił posiedzieć w rodzinnym gronie i porzeźbić. Miał spore zaległości w takowej dokumentacji, a i tak ciągle zastanawiał się, jakby tu urozmaicić swe figurki. Popołudniu razem z bratem Bolesławem bawili się w rozmaite gry w pobliżu żeremia. Wypróbowali razem m.in. nową wersję berka, goniąc się zarówno po lądzie, jak i w wodzie. Zmęczeni, odpoczywali potem koło domowej siedziby.

Boberkowi jednak wydawało się, że trzeba się gdzie przejść na spacer, zanim pójdzie spać wieczorem. Tak spokojnie sobie wędrując po okolicy, dotarł do sąsiedniego zagajnika. Podziwiał soczystą zielen, jaka tam biła od rozmaitych roślin poczynając od drobnych ziół i kwiatów przy samej ziemi, a kończąc na drzewach, których gałęzie sięgały daleko w górę, jakby chciały dotknąć nieba. Zaciekawiony niebieską smużką wody majaczącą na skraju młodnika, podążył sprawdzić, dokąd go to zaprowadzi. Okazało się, iż to niewielki strumyk, oddzielający otwartą przestrzeń od zalesienia, kończył się swój bieg w sposób dość nieoczekiwany. Zasilał bowiem niewielkie jezioro wśród kolejnej grupy brązowych pni z bujnymi koronami. Futrzak postanowił dalej badać nieznaną mu jeszcze teren. Wahał się przy każdym kroku, ponieważ nie wiedział, czego może się spodziewać. Przemykał ostrożnie wśród krzewów i drzew, zważając, by jak najbardziej pozostawać niewidocznym dla potencjalnego wroga.



foto: Krzysztof Pachodawicz

Ciekawe miejsca - Niezwykli ludzie

wraz z upływem czasu poznałam to i owo.

- Czyli mieszkasz tutaj? Sama? To smutno tak w pojedynkę.

- Tak coś czuję, że zadawanie pytań to twoja specjalność - roześmiała się Łucja. - Nie mam ci tego jednak za złe, bo jak to mówią: kto pyta, nie błądzi. Odpowiadając, powinnam wyjaśnić, że mój gatunek cechuje się terytorializmem, czyli żyjemy w pojedynkę na pewnych określonych obszarach. Zazwyczaj unikamy kontaktów z pobratymcami, jednakże samcom, którzy uwielbiają wędrować, często pozwalamy przekraczać nasze tereny. Teraz jeszcze nie zaprzętał sobie głowy ścisłym wyznaczaniem granic przyszłego rewiru, ale rozglądał się za jak najciekawszym miejscem. Za rok będę myśleć na poważnie o założeniu rodziny, wtedy jest ważne, by mieć jak wykarmić dziatwę.

- Słuchając ciebie, zastanawiam się nad czymś. Poznałam bliżej z takich „futrzanych” zwierząt jak na razie tylko losie. I wiem, że też są samotnikami. Łączą się w pary na krótko, a potem matki wychowują potomstwo. Pod tym względem wychodzi, że jesteście podobni.

- To akurat trafne spostrzeżenie. Ale chyba na tym analogie się kończą. Kopytni odżywiają się roślinami, a nam bycie jaroszem nie odpowiada. Polujemy na ryby, raki, czasem żaby. Pamiętam, jak mi mama mówiła, że jakby głód doskwierał, nie należy gardzić drobnymi ptakami i ssakami. Opoowiadała, że kiedyś nawet małego bobra przyniosła na obiad.

Na te słowa Mieszko struchlał. Nie wiedział, co o tym sądzić. Przerażenie nie pozwalało mu na wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Widząc to, wydra postanowiła uspokoić swego rozmówcę.

- Nie bój się. Nie chciałam cię przestraszyć. Przepraszam, tak się rozpedziłam, że nieciekawie wyszło. To podobno był taki bardzo młody osobnik, który w swe pierwsze dni był zbyt pewny siebie i oddalił się za bardzo od pozostałych. Tobie nic nie grozi. Po pierwsze jesteś za duży, a poza tym to się naprawdę rzadko zdarza. Opowiem ci coś jeszcze o sobie, jeśli tylko chcesz. Tylko proszę, przestań dygotać jak osika.

Boberek próbował opanować swój strach, a nowa znajoma kontynuowała wypowiedź.

- Zwykle w dzień śpimy lub odpoczywamy w norach, i to niekoniecznie przez nas własnoręcznie zrobionych. Często gości w kryjówkach borsuków, a także w opuszczonych żeremiach. Po zmroku wyruszamy na łowy. Musimy mieć sporo siły, by móc poświęcać sporo czasu na ulubioną rozrywkę, czyli zabawę. Rozmaite tego typu uciechy towarzyszą nam przez całe życie. Nie ma za „starej” wydry do radośnych igraszek. Gdy jesteśmy same, to zazwyczaj przedmiotem do gry jest upolowana ryba albo jakiś kamień. Uwielbiamy pływać i niechętnie wychodzimy na ląd. Osobiście uważam, że nie ma nic przyjemniejszego jak nurkowanie. Jeśli już trochę ochłonąłeś, to może powiesz mi, jak masz na imię i razem coś poposcimy.

- Nazywam się Mieszko. Ja mieszkam w sumie niedaleko, więc może kiedyś cię jeszcze odwiedzę. A pobawić się też bardzo lubię, tylko niedługo będę musiał wracać do domu, aby rodzice nie martwili się o mnie. Jaką grę proponujesz? - zapytał już w miarę spokojnie.

- Próbowaleś kiedyś zjeżdżać po stromym brzegu do wody? Jak jest trochę błota lub trawa nie wyschła po deszczu lub po porannej rosie, to nabiera się niezłego rozpędu. I potem jest głośne chlup, gdy znajdujesz się np. w tym oto jezioro. Uwielbiam takie har-

ce. Wzmie też jest to fajne - zwłaszcza gdy spadnie dużo śniegu. Jeśli jeszcze tego nie robileś, to zapraszam. Myślę, że ci się spodoba. A nawet gdyby nie, to zawsze to jakieś nowe doświadczenia.

Boberkowi pomysł przypadł do gustu i dlatego szybko wybrał z towarzyszką dogodnie miejsce do ślizgania. Za pierwszym razem miał obawy, że się zbyt szybko wybrudzi, albo że stanie się coś złego. Z tego powodu przez pewien czas obserwował poczynania wydry.

Widząc, jak wydra się cieszy i zachęca go do przyłączenia się, postanowił zaryzykować. Ostrożnie przysiadł na brzegu i powolutku zaczął zsuwać się w kierunku niebieskiej toni. Jednak

kontrolowanie tempa, z jakim zbliżał się do wody, nie było takie proste i w końcu stracił nad tym panowanie. Nim się zorientował, był już koło Łucji, która z rozbawioną miną obserwowała, co też wyczynia jej nowy kolega. Mieszko po kilku kolejnych zjazdach przyznał jej rację, że jest to całkiem niezła rozrywka. Jednakże zmrok powoli zapadał i trzeba się było pożegnać. Lecz obiecali sobie, że jakoś się niedługo spotkają - w końcu niedaleko mieszkali od siebie. Po chwili wydra zanurkowała, by upolować coś na kolację, a boberk poczłapał w stronę domu.

Anna Wabik
(inne przygody Boberka Mieszka - na: swojskieklimaty24.pl)

Biebrzańskie sumy



W końcu postanowiłem sprawdzić jedną z wędkarskich legend biebrzańskich. Otóż wszyscy wędkarze których znałem twierdzili że najlepsza przynęta na suma to żaba, bez względu na wielkość i gatunek, a żab w tym czasie nad Biebrzą było tyle, że ich wieczorne koncerty przeciągające się do rana nie pozwalały zasnąć.

Już wtedy uważałem, że miały jednak również swoje wartości terapeutyczne. Żadna „kąpiel w gongu czy misie tybetańskiej” ani inne akustyczne narkotyki nie są w stanie im dorównać. Podobno mężczyźni im nie ufają bo boją się konfrontacji z własnymi zmysłami. Ja ufam, przynajmniej żabom. Po powrocie do domu nawet rechot starej ropuchy odbierało się jak milutkie kumkanie malutkiej, ukochniej żabki.

Oczywiście, tak jak wszystkie skuteczne terapie, uzależniała i powodowała coraz częstsze zażywanie lekarstwa, jakim niewątpliwie jest biebrzańskie rybaczanie. Z tego też powodu, jako uzależniony (czytaj biebrznięty) wynosiłem się z domu aby być jak najbliższym lecznicy, robiłem to coraz częściej aż doprowadziłem do tego, że więcej czasu spędzałem w „szpitalu” niż w domu. W końcu zostałem w nim na stałe, ba, nawet sam wybudowałem niewielki szpital - w którym do dziś leczę się i przyjmuję chorych na tę dolegliwość! Niektórych nawet uzdrawiam! I tak zostałem biebrzańskim wolontariuszem, ale wróćmy do sumów.

Przygotowałem 20 pupów (pojedynczych sznurów, używanych od dawna na Biebrzy i nie tylko) z mocnymi przyponami i największymi, kutymi hakami. Złapałem do wiaderka z dziurawą przykrywką 20 żab, różnej wielkości i maści, aby przekonać się do ich skuteczności na przyszłość. Tuż przed zmierzchem wpłynąłem łódką na Żaczkowo i rozstawiłem je w różnych kombinacjach. Głęboko i płytko, przy trzcinach, na czystym i w „kapelanach”. Rozłożyłem się na pobliskim łądźniku. Rozpalilem ognisko i zanurzyłem się w „terapeutycznej kąpeli

żabiego koncertu”.

Był to okres kiedy od kwietnia do października spałem na świeżym powietrzu, zapadnięty najczęściej w skondensowane aromaty otoczenia, mając pod sobą wojskowy materac a nad sobą przestrzeń namacalnej kosmicznej swobody, czasem wypełnionej gwiazdami a wielokrotnie i deszczem. Wybór niestety nie należał do mnie. Tak się składa, że komary nie mają tam dostępu. Za to sójka głosem starej wiedźmy, zupełnie nie pasującym do jej pięknej, kolorowej dzwiczęcej postaci wyraźnie dawała mi do zrozumienia, że jestem tu tylko intruzem.

Jeszcze przed zmierzchem, słowik kluczkiem wiklinowym otworzył zapis muzyczny niepojęty i nie do odtworzenia przez najlepsze orkiestry symfoniczne.

Noc zaczęła się rechotem, przechodzącym łagodnie w coraz cichsze zespolone kumkanie a na koniec wystąpili soliści lub solistki, których do dziś nie potrafiał odróżnić. W pewnym momencie od wody doleciał skrzekot tak kakaofoniczny, że musiałem krzyknąć na całe towarzystwo. Chwilę było cicho, potem z kolei puszczyk wrasnął na mnie tak blisko i przeraźliwie, że postanowiłem nie ingerować bez sensu w to co działo się wokół, nakryłem się na głowę i chyba zasnąłem, bo niemożliwie przecięż, żeby nawet na Biebrzą żył aż tak bezszczelny derkacz, który prawie tuż przy moim uchu opętańczył swoje monotonne der-der wykrzykiwał prawie do rana. Jeszcze przed świtem zmienił go cietrzew, czu-czu-szykając i bełkocąc jak wiejski pijaniuszka, do brzasku.

Jutrzemka na moment zadyrygowała „wielką pauzę”, a potem terapeutyczna **(ciąg dalszy na str. 8)**

Nasze Swojskie Klimaty

Tykociński pomnik i Chata w Morusach k. Tykocina, to podlaskie ślady słynnego filmowca, fotografika i pisarza

MISTRZ BEZKRWAWYCH ŁÓWÓW

Włodzimierz Puchalski, lwowianin, wielki polski filmowiec, fotografik, pisarz i gawędziarz, miłośnik przyrody, a przede wszystkim wspaniały człowiek.

Przyszedł na świat 6 marca 1909 roku w Mostach Wielkich, w dawnym powiecie żółkiewskim, w majątku **Władysława Puchalskiego** i jego żony **Katarzyny z domu Sykora**. Ojciec był zawodowym oficerem c.k. armii, a z zamiłowania przyrodnikiem. Fotografowanie poznał mały Włodek w domu rodzinnym, patrząc jak ojciec robi zdjęcia przyrodnicze. Gdy miał 13 lat, dziadek **Hieronim Sykora** dał mu w prezencie miechowy aparat i od tego czasu fotografowanie natury stało się pasją jego życia. Fotografikiem był również jego starszy brat **Roman**, znany narciarz i miłośnik gór, który zmarł, bądź został zamordowany w sowieckim obozie na Kołymie.

Włodzimierz Puchalski ukończył we Lwowie XII Gimnazjum Państwowe i Korpus Kadetów. Pierwszą jego wystawą był cykl fotografii p.t. „Zaba” zaprezentowany we Lwowie w 1927 roku. Cztery lata później rozpoczął Puchalski studia na wydziale rolniczo-leśnym Politechniki Lwowskiej, który mieścił się w Dublinach. Naukę ukończył z tytułem inżyniera agronoma. W latach 1933-36 był asystentem prof. Witolda Romera w katedrze fotochemii Politechniki Lwowskiej. Czasopismo „Łowiec Polski” przyznało mu w 1934 roku pierwszą nagrodę w konkursie fotograficznym. W tym samym roku powstał jego pierwszy i zarazem sztandarowy film przyrodniczy pod wymownym tytułem „Bezkrwawe łowy”. W następnych latach powstały nowe filmy i kolekcje zdjęć. Przyrodnik nawiązał współpracę z pismami polskimi i zagranicznymi, m.in. ze słynnym „National Geographic Magazine”. W 1937 roku dostał Złoty Medal na Światowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie za fotografię „Odyniec w zimie”.

Jako znany fotografik i filmowiec odwiedził kiedyś Moroczyn koło Hrubieszowa, majątek **Wincentego Chrzanowskiego**. Tam poznał żonę właściciela, piękną Izabelę baronównę Czecz de Lindenwald. Oczarowała go od pierwszego spojrzenia i stała się jego platoniczną miłością. Był też chętnie i często przyjmowany przez prezydenta RP **Ignacego Mościckiego**. Dzięki temu w 1938 roku fotografował słynne polowanie organizowane przez prezydenta w Puszczy Białowieskiej, w którym uczestniczył Hermann Göring. Pracował też jako asystent prof. **Kazimierza Wodzickiego** w warszawskiej SGGW, gdzie wprowadził nowatorską na owe czasy metodę pracy ze studentami przy pomocy filmów, zdjęć i przezrocz. Był nawet współautorem jedynego filmu naukowej publikacji o białych bocianach.

Wszystko zmieniła wojna. Włodzimierz Puchalski brał udział w kampanii wrześniowej w randze podporucznika artylerii konnej. Wcześniej w puszczy sandomierskiej zakopał cały swój majątek, czyli sprzęt fotograficzny i dobrze oznaczył to miejsce (wrócił tam po wojnie i odkopał swój skarb ruszając z nim na polskie już wtedy Mazury).

Walczył na Wołyniu i Lubelszczyźnie. W czasie niemieckiej okupacji pracował jako leśniczy w powiecie tarnobrzeskim. Był dwa razy aresztowany przez hitlerowców za sabotaż. Pod koniec wojny ukrywał się w Krakowie. Wtedy dowiedział się o śmierci Wincentego Chrzanowskiego.

W roku 1945 ożenił się z Izabelą Chrzanowską stając się ojczymem jej syna, przyszłego wielkiego polskiego historyka sztuki prof. **Tadeusza Chrzanowskiego**.

Opiekując się młodym Tadeuszem i jego kuzynem Januszem Czeczem uczył ich fotografii i filmowania. Przy pomocy Izabeli zrealizował pierwszy rodzinny projekt - film „Flora Tatr”.

Janusz Czecz został dzięki Puchalskiemu znanym polskim fotografikiem i filmowcem. Razem realizowali filmy powstałe m.in. podczas ich wyprawy na Spitsbergen. **Izabela Puchalska** też była miłośnikiem przyrody, chętnie towarzyszyła mężowi na planie zdjęciowym i była współreżyserem wielu filmów.

W 1949 roku Puchalski rozpoczął pracę w Instytucie Zootechniki Uniwersytetu Jagiellońskiego, a od roku 1956 pracował jako reżyser i operator w Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi.

Pierwszy jego powojenny album nosił taki sam tytuł, jak znany film: „Bezkrwawe łowy”. Przez całe życie stworzył tych albumów ponad 50. Jego filmów naliczono przeszło 60. Wiele z nich otrzymało nagrody w Polsce i za granicą. Za „osiągnięcia twórcze w zakresie filmów przyrodniczych” otrzymał w 1955 roku Nagrodę Państwową II Stopnia. Po śmierci Izabeli Puchalski ożenił się z młodą panną z lwowskiej rodziny lekarskiej Alaną Gröo. Z tego związku żyje ich córka Anna, z męża Zelewską.

Choć Puchalscy mieli swoją willę na Sarnim Uroczysku w Krakowie, przyrodnik nabył w 1968 roku w Morusach koło Tykocina na Podlasiu starą 200-letnią chałupę, do której przyjeżdżał co roku przywożąc tam żonę i córkę. Chata ta stała się jego bazą wypadową nad Biebrzę i Narew, a w wolnych chwilach uprawiał koło niej ogródek. „Widziałem w swoim życiu wiele jezior, rzek, zlewnisk, ale nieodparty urok tych bezkresnych wód, własnie tam, w Morusach, obejmujących olbrzymią przestrzeń krajobrazu, należy w moich wspomnieniach do najpiękniejszych” - pisał potem w pamiętniku. Obecnie w wyremontowanej moruskiej chatce mieści się izba muzealna poświęcona Puchalskiemu,

a na jednej ze ścian wisi obraz namalowany przez Alanę Puchalską.

Dzięki pomocy przyjaciół i znajomych udało się Puchalskiemu w 1968 roku wybrać w sentymentalną podróż do Lwowa. Ostatnią przyrodniczą wyprawę odbył pod koniec 1978 roku na Antarktydę, choć stan jego zdrowia mu na to nie pozwalał. Był wtedy po dwóch zawałach i lekarze kategorycznie odradzali mu ten wyjazd, więc podpisał oświadczenie, że jedzie na własną odpowiedzialność. Na antypodach miał kręcić film o pingwinach. 19 stycznia 1979 roku podczas robienia porannych zdjęć Puchalski zasłabł i stracił przytomność. Jego asystent **Ryszard Wyrzykowski** sprowadził natychmiast pomoc lekarską, lecz niestety na próżno. Wielki przyrodnik zmarł.

Pochowano go w lodach Antarktyki, 14 tysięcy kilometrów od kraju, na wzniesieniu 400 metrów od Polskiej Stacji Badawczej im. Henryka Arctowskiego na wyspie Króla Jerzego. Imię Puchalskiego nosi dziś lodowiec koło polskiej bazy. W 1980 roku Alana Puchalska wystawiła na mogile męża nagrobek wykonany przez znanego rzeźbiarza Bronisława Chromego. Grób przyrodnika jest wpisany na listę obiektów historycznych Antarktyki.

Odszedł człowiek - pozostało po nim dzieło - dziesiątki filmów, książek, oraz tysiące zdjęć i negatywów. Całą tę spuściznę Alana Puchalska przekazała Muzeum Niepołomickiemu. Kilkanaście szkół w Polsce nosi imię Włodzimierza Puchalskiego. W Tykocinie jest droga jego imienia i szlak turystyczny w dolinie Narwi, a od roku 2009 stoi w tym miejscu pomnik filmowca. Od 1995 roku czasopismo „Łowiec Polski” organizuje konkurs fotograficzny jego imienia, a w Łodzi odbywa się festiwal poświęcony sprawom przyrody i ochrony środowiska. W 2003 roku odsłonięto przy głównej łódzkiej ulicy, Piotrkowskiej, „Gwiazdę Puchalskiego”.

Był Puchalski pionierem polskiej fotografii i filmu przyrodniczego, a wśród jego pasjonatów powstał ciągle aktualny termin „Puchalszczyzna”. Na



jego „Bezkrwawych łowach” kilka pokoleń Polaków uczyło się i uczy nadal umiłowania ojczyzny i przyrody. Wśród nich jest też rodzina Sznajderów. Mój ojciec Jarosław, taternik i miłośnik przyrody, fascynował się Puchalskim jeszcze przed wojną. Książką Puchalskiego, dzięki której ja sam sięgnąłem po aparat, była „Wyspa kor-moranów”. Rodzinną pasję kontynuuje mój syn Piotr, a jego plenerowe zdjęcia towarzyszyły nie raz moim

artykułom.

„Bo to po prostu - jak mawiał Puchalski - łaknienie piękna, jakiś wrodzony imperatyw estetyczny, nakazujący nam obcowanie z owymi arcy-dzielami, których surową i zarazem nieskazitelną formę tworzy wielka artystka - przyroda”.

Andrzej Sznajder

Tekst ukazał się w nr 14-15 Kurier Galicyjskiego (210-211) 19-28 sierpnia 2014 www.kuriergalicyjski.com

Biebrzańskie sumy

(ciąg dalszy ze str. 7)

półsenna kąpiel zakończyła się gwałtownie i dosłownie na moment. Po chwili, pięknej, majestatycznej i niepojętej, wszystko co żyło wokół mnie rozdarło się na cześć swego boga słońca. Musiałem wstawać, po za tym zżerała mnie ciekawość, co też tam się dzieje po tamtej stronie lustra, tak przemyślnie, jak mi się wydawało, powiązanej przeze mnie z powierzchnią.

Poczekaliśmy do momentu aż mgła podnosząc się odsłoni powierzchnię wody. Przedarłem się łódką przez trzciny do „czystego”, gdzie na gładziutkiej jak stół tafli, na 20-tu styropianowych bielutkich pupach, 20 par żabich wytrzeszczonych oczu skupiło się na mnie z wyrzutem i złością. Gdyby nie powbijane w tyłki haczyki, uznałbym ten obrazek za senny wymysł wyobraźni. Niestety, ani przed, ani po, nie miałem wędkarskiego zmysłu, który nakazywał żaby zabić a najlepiej je rozedrzeć i dopiero zakładać na haczyk. Ten brak elementarnej wiedzy wędkarskiej musiałem nadrobić bardzo stresującym zajęciem uwalniając żaby od haczyków.

Do dziś nie potrafię rozstrzygnąć, co jest bardziej humanitarne: zabić żabę czy tylko przebić jej dupę haczykiem. Na pewno takich wątpliwości nie miał by sum, wydra czy prawdzi-

wy, etyczny wędkarz, bo człowiek-żabjad zjada już gotowe danie a nie żabę, która przedtem niewątpliwie popelniała samobójstwo, rechocąc z radości wcześniej na własną zagładę.

Biebrzański Park Narodowy rok 2015 ogłosił Rokiem Suma i od dnia 01.01.2015 objął go ochroną całkowitą. Z raportów wynika, że złapanie sumy w Biebrzy zdarza się rzadko. Np. latem 2011 Instytut Rybactwa Śródlądowego w wyniku odłowów doświadczalnych w Biebrzy i Jegrzni, złowił tylko jednego sumy. W 2013 roku odnotowano w Biebrzy odłów siedmiu sumów w rejonie Dolistowa i Rutkowskich. Ważyły od dwóch do siedmiu kilogramów.

W roku 2014 natomiast podczas zawodów wędkarskich nad Biebrzą nie złowiono ani jednego sumy. Roman Skąpski mówi, że nie wiadomo do końca, czy wędkarze nie umieli złowić sumy, czy rejestry są niezetelne. Wędkarze natomiast mówią, że Skąpski i jego kamaryla nie ma pojęcia o życiu sumy biebrzańskiego i zamiast zapytać tych, co od pokoleń łapią w Biebrzy sumy, ośmiesza się publicznie, podając w wątpliwość kolejną raz swoją wiedzę. Z tego też miejsca apeluję do tego znawcy tematu: sum

jest rybą nocnego żeru, czyli od zmierzchu do świtu, a w Parku można przebywać (wędkować), od świtu do zmierzchu. Szansa na spotkanie jest żadna. Największą ostoją suma jest Basen Dolny, który aż do ujścia Wiszy z wędkowania jest wyłączony. Popisywanie się ochroną dla” samej ochrony”, bez jakichkolwiek wskazań czy kryteriów jest zagrywką pod publiczność. Sum jest żarłokiem-kanibalem więc jest szkodnikiem również dla samego siebie i otoczenia.

Już w latach trzydziestych ubiegłego stulecia Dr **Franciszek Staff**,



foto: ZnadBiebrzy.pl

FB/Krzysztof.Pochodowicz



WIOSENNE OKRUCHY BIEBRZY...

lubię ten czas - zawieszony między ciepłem dni i chłodem nocy... kiedy lodowe drogi znikają powoli na nadbiebrzańskich bielach i kaczkom nie marzną już tak bardzo przemoczzone nogi... gdy nieśmiała wcześniej zieleń coraz odważniej wychyla się przy płotach polnych kapliczek... kiedy za stodołami płoną wysuszone resztki ubiegłego roku i świątecznoleniwie dymią swojskim zapachem wędzarki, a Wielkanoc - wyglądana coraz bardziej niecierpliwie przez, głodne rybich resztek, podwórkowe dachowce - strząsa tuż za progiem ze swojego okrycia ostatnie okruchy zimy...



Z Bagien Biebrzańskich - tam, gdzie czasu chwilka -zastyga pochylona nad świeżym tropem wilka...

WILCZE OPOWIEŚCI



Wilka z Rysiem spotkania...

Z ryskiem to miałem kilka spotkań. Pierwsze - na naszym terenie - kiedy udało mi się zrobić kilka pięknych zdjęć. Jechałem samochodem na polowanie, a zawsze mam ze sobą aparat fotograficzny.

Z daleka zauważyłem coś nietypowego na skraju lasu. Podjechałem bliżej i „oszałam z zaskoczenia” - miałem rysia na 150 metrów. Siedzącego i nie zwracającego uwagi na mnie. Zacząłem robić zdjęcia i zbliżać się do niego - na 100, potem 50 metrów, a rys nie reagował.

Dopiero później zobaczyłem, co było przyczyną jego nietypowego zachowania. Niedaleko niego siedział w trawie zajac, którego chciał upolować. Ja mu tylko w tym przeszkadzałem - na tyle „skutecznie”, że w pewnym momencie zając się spłoszył na mój widok i to go uratowało.

Rys zrobił przysiad do ataku, ale w ostatniej chwili uznał, że nie uda mu

się i uskoczył.

Ja zrobiłem życiowe zdjęcia, które ukazało się na stronach nadleśnictwa, regionalnej i generalnej dyrekcji lasów państwowych i zostały obejrzone przez ponad 200 tysięcy osób.

Wcześniej miałem spotkanie z rysiem przy naszej leśniczówce na Weryklach. Jechałem rowerem i zobaczyłem że coś mi ucieka z łąki. Nietypowa sytuacja, bo rys jest nocnym łowcą i rzadko kiedy widać go w dzień.

Śpiesząc się, zignorowałem to i pojechałem dalej. Dopiero po dwóch dniach - jadąc ponownie, zobaczyłem dwa myszolewy siedzące na łące. Podszedłem bliżej - zobaczyć co jest przyczyną ich łąkowego „postoju” i ujrzałem, że żerują na truchle sarny obsypanym „ścisłą” - trawą i resztkami liści.

Jednoznacznie świadczyło to o tym, że wcześniej żerował tu rys - jedyny drapieżnik, który ukrywa swoją zdobycz przed otoczeniem - zakopując ją lub zasypując, czym się da. Później Paweł Świątkiewicz zrobił jej - bo okazało się że była to kotna rysica - zdjęcie, kiedy wychodziła z lasu.

Ostatnie spotkanie miałem na polowaniu - późną jesienią ubiegłego roku - z całą rodziną rysia. Zauważyłem chmarę kilkunastu jeleni, w które usiłowałem wejść - żeby je rozpoznać.

W pewnym momencie zauważyłem nietypową reakcję „licówki” - najbardziej doświadczonej łani w stadzie, prowadzącej je - na jej polecenie sarny żerują, uciekają itp.

Nietypowe zachowanie, bo jelenie pilnie obserwowali szuwały. Zaciekawiony przyjrzałem się dokładnie i zauważyłem w popołudniowej szarówce kilka żerujących rysia.

W pewnym momencie licówka odbiła od chmary i zbliżyła się do rysia. Jeden z kociaków zaczął nieopatrnie się do niej zbliżać. Licówka zaatakowała go i w tym momencie wystartowała kotka, która nieomal wskoczyła łani na kark. Rys jest bowiem w stanie powalić dorosłego rysia jelenia.

Znam opowieść kolegi z Białowieskiego Parku Narodowego, o rysiu „jadącym” na jeleniu i próbującym przegryźć mu kark. Jeleń uznał że jedynym ratunkiem jest zbliżenie się do ludzi i rzeczywiście pomogło mu to - spłoszony rys zeskoczył z niego i uciekł.

Kotka odegnała licówkę, zrobiło się późno i musiałem wracać. Myślałem że na ranku postawię fotopułapki, ale okazało się że do rana wszystko było obrane - sarna wystarczyła czterem rysiom na jeden tylko posiłek.

Eugeniusza
“Wilka” Wilczewskiego
- wysłuchał
Krzysztof Pochodowicz

INTERNETOWO I STACJONARNIE SZKOLENIA BHP

- pracodawców oraz osób kierujących pracownikami
- pracowników administracyjno-biurowych
- pracowników na stanowiskach robotniczych
- pracowników na stanowiskach inżyniersko-technicznych
- z zakresu 1. pomocy oraz ochrony przeciwpożarowej

BHP-TANIO.PL

511 797 444

10 % zysku z tej reklamy - na Psie Przytulisko Króla Biebrzy!

Im głębiej, tym ciemniej, tym dziwniej i cudowniej, a zdarzenia na krawędzi wzroku nie muszą być wcale prawdziwe, ale zawsze są ekscytujące...



BEZDENNIK

Pierwszy raz z nazwą BEZDENNIK spotkałem się jeszcze w latach sześćdziesiątych kiedy to pojechaliśmy z ówczesną milicją szukać chłopaka, który utopił się w jakim naturalnym, niewielkim zbiorniku wodnym w okolicach wsi Pierożki koło Krynek. Na miejscu dowiedzieliśmy się, że przepiękne malutkie jezioro w pobliskim lesie nazywa się Bezdennica, a to z racji tego że często topi się tam bydło, które potem nigdy nie wypływa, ale podobno jedna z krów wypłynęła aż w Niemnie!

Utopionych tam ludzi też nigdy nie odnaleziono. Miejscowi zaklinali się, że ich rodzice i dziadkowie zawsze ich przestrzegali przed kąpielami, ponieważ głębia tam niezbadana, podając jako przykład kozaka carskiego, który wpadł do jeziora wraz z koniem, a połączone, z całej wsi zebrane długie drągi do siana nazywane „powięziami” nie dostały do dna, po prostu Bezdennica, królestwo Bezdennika.

Rzeczywiście, idąc do lustra wody szliśmy po uginającej się do kolan powierzchni. Samo lustro wody o średnicy około 30 metrów było na tyle przezroczyste, że podwodna, dość bujna roślinność prześwitywała wyraźnie. Na brzegu malutki pomościec z jednej deski zrobiony z którego łapano ryby i skakano do wody, oczywiście wbrew zakazom starszych.

Z relacji naocznych świadków wynikało, że ten 12-letni chłopak najlepiej pływał ze wszystkich i nurkował aż za połowę długości lustra wody. Tym razem też kilkakrotnie wypłynął dalej od innych, zawsze jednak widzieli jego poruszające się ciało tuż pod powierzchnią. Za kolejnym razem chyba skoczył zbyt głęboko, bo po skoku nikt już go nie widział, tylko na wodzie rozeszły się kręgi aż brzeg zafalował. I nagle wszyscy przypomnieli sobie o legendach i przestrogach i już nie znalazł się śmiełek, aby wejść do wody i próbować go odszukać. Podobno miała to być sprawka Bezdennika, który nie lubi zakłócania spokoju, a już na pewno tych, którzy starają się mu dorównać. Tyle usłyszałem na brzegu, zanim się ubrałem w skafander.

Zszedłem na rekonesans powolutku, nie tylko ze względu na spodziewane muliste dno, ale również chodziło mi po głowie ludzkie gadanie. Na trzech metrach widoczność urwała się gwałtownie, choć nie osiągnąłem dna i tylko coraz zimniejsza woda i gęstniejące otoczenie wskazywało na ogromny pokład zupełnie lekkiego jak puch mułu. Zatrzymałem się - tak mi się przynajmniej zdawało - bo na prymitywnej, niefosforyzującej kapilarze nic nie mogłem odczytać. Ręka zagłębiała się dalej, ale coraz oporniej. Pomyślałem, że takiej gęstości środowiska bezwolnie opadające ciało nie było w stanie pokonać. Wynurzyłem się równie powoli jak z piekła otchłani, o której ludzie ciągle rozprawiają, z uczuciem podświadomego lęku, który sam sobie tłumaczyłem: to tylko ludzkie gadanie. Pod powierzchnią znów było pięknie, widziałem od spodu roz-

emocje. Jako powód podałem, że woda się musi ustać.

Na powierzchni było jeszcze gorzej, atmosfera podgrzewana przez paru pijacków i miejscowych chłopków-roztrópków, którzy zaczęli wątpić w moje umiejętności, a nawet proponowali, aby ich ubrać w sprzęt i oni szybciotko sprawę załatwią. Starsi żegnali się i mamrotali coś o Bezdenniku, podając różne przykłady z przeszłości. Mój partner nurkowy, Krzysiek zdecydował: obciążymy ciebie wszystkim co mamy, ja zostanę tuż pod powierzchnią na asekuracji, a ty obwiedz rękami po omacku całą postać i zobacz, co realnie może to ciało trzymać, bo w żadne bajki ja nie wierzę. Uczynni tubylcy szybciotko przetaszczyli kilkanaście metrów krowiego łańcucha, którym dodatkowo owinięto mnie w pasie, linkę kazałem trzymać naprężoną. Zamknąłem oczy w ciemności niepotrzebne i powoli zanurzałem się zupełnie nie wspomagając się płetwami, tłumacząc sobie, że to tylko ciężar łańcucha mnie pogrąży, nic mnie nie wciąga, a nade mną jest mój niezawodny rozsądny przyjaciel, który już nie raz mi pomógł wrócić na powierzchnię. Ręką obwodziłem biodro topielca, a potem obiema nogami, gdzie w okolicy stopy natknąłem się na linkę, którą udało mi się przeciąć nożem, a właściwie pożyczonym od kogoś na powierzchni szczyrykiem. Przedtem nigdy noża nurkowego nie używałem, choć wielokrotnie byłem za to ganiony. Tam właśnie doświadczyłem potrzeby, która już dawno dla mądrzejszych ode mnie była oczywista.

Po wydobyciu ciała, jeden ze starszych tubylców oświadczył, że zna ten sznurek, bo tylko jego tato takie z konojów, nomen omen, w Bezdennicy moczonych umiał kręcić. To ich krowa właśnie tam wpadła, jak on ją pasał i tylko meknąc zdążyła i przepadła. Jednak i on był przekonany, że to Bezdennik wciągnął ich krowę, a teraz posłużył się tym samym sznurkiem...

II

Nie ma tego, czego nie można nazwać, nie można nazwać tego, czego się nigdy nie widziało. Sama wyobraźnia to jednak za mało.

Bezdennik podobno żyje w ciemnościach, światło go drażni i przeszkadza, dlatego wysysa całe światło z otoczenia. Otoczony tabu ciemności i zimna, tyle lat niedostępny i żyjący tylko w domysłach i wyobraźni. Dopiero płetwonurkowie mają szansę zbadać tę legendę.

Bezdennik to biebrzańska legenda podwodna, uformowana w ostatnich latach przez płetwonurków.

Nieokreślona bliżej tylko na podstawie opowiadań i próbie wyjaśniania wielu podwodnych zagadek.

Obecnie podczas oglądania zdjęć i filmów podwodnych nabierająca realnych kształtów stwora o niewiadomych: złych czy dobrych zamiarach.

Bezdennik to rozwinięta forma biebrzańskiego Bagiennika, podległego Pani Jezior i Płytkowodzi, która jako jedyna może nakazać nurtowi rzeczniczemu wszystko, bo tylko w Biebrzy potwory ewoluują razem z nią, aby przetrwać i nie zmieniać formy.

Tak właśnie wraz z poznawaniem tajemnic Biebrzańskich głębin odkrywamy jej przeszłość i historię obrósł w legendy o jej niezniszczalności, bo coś ją przecież musiało bronić tak skutecznie, że przetrwała.

Skuteczny strach przed nieznanym to tylko dla niewielu wyzwanie, dla większości to tabu.

Ciemność to ciemność. Ciemność ustępuje światłu, a światło ciemności. Ciemność jest stara jak ziemia, a światło to zdobyc cywilizacji, tam gdzie króluje ciemność światło trzeba przynieść. Ingerencja światłem w ciemność to rozszerzenie cywilizacji. W Biebrzy ciągle macie szansę przynieść światło tam, gdzie go nigdy nie było, a życie tam skupione będzie ciągle "zupełnie

dzikie", bo ono się tego nawet nie spodziewa. To duża gratka dla każdego, zostać badaczem, ba, nawet współczesnym Prometeuszem, taka chęć drzemie w każdym człowieku. Tak myślałem podczas pierwszych swoich w Biebrzy zanurzeń poetycko przeze mnie nazywanych immersją.

Aż się zdarzyło, że ojciec jednego z moich kolegów przywiózł z zagranicy prawdziwą podwodną latarkę, którą to natychmiast chciałem wypróbować. Moje możliwości rozszerzyły się i zobaczyłem cuda, o których nawet nie marzyłem. Wystarczyło zaświecić tam, gdzie wzrok nie sięga, pod biebrzańskie „baldachimy” w wieczny mrok i kryjówkę wszystkiego co znika gdy tylko wsadzisz głowę do wody. To w świetle podwodnej latarki zobaczyłem olbrzymie sumy, które fascynują mnie do dzisiaj.

Za którymś tam razem pomyślałem, żeby zanurkować ze światłem nocą w Biebrzy, w miejscu uznawanym za najgłębsze. Było cudownie. Ryby nie reagowały zupełnie, raki stroszyły w moją stronę swoje bojowo nastawiane szczypcy. Niewielkie kozy, w piękne wzory rybki jednym ruchem wkręcały się w piasek denny i zniknęły, aby za chwilę powolutku, powolutku się wynurzać. Opadający z ich głów piasek formował się jak niewielki kopczyk kreta. Jak opadł już z ich dużych oczu kierowałem na nią snop światła, a ona znów zniknęła, aby za chwilę znów się powolutku wynurzać. Bawiłem się tak przez chwilę, a potem zdecydowałem osiągnąć tą legendarną głębokość.

W pewnym momencie skierowałem światło latarki odruchowo w bok, odruchowo, pod wpływem nieznanego bodźca, co mi już się zdarzało przy poszukiwaniu topielców w całkowitych ciemnościach i czasami przynosiło oczekiwany, choć niepojęty efekt. W oczach rozbłysły mi dwa punkty jak refleks w mózgu pod chwilowej ciemności, zanim odwróciłem głowę w stronę światła. Zamknąłem oczy i jeszcze raz powoli otwierałem aby akomodacja następowała stopniowo. Dwa punkty, jak kocie oczy tkwiły na swoim miejscu. Patrzyłem i myślałem, Bezdennik nie powinien mieć tak jęczących się oczu, chyba że jest to moment, w którym wysysa światło mojej latarki, jak głosi legenda. I rzeczywiście światło mojej latarki zaczęło wyraźnie przygasać. Bałem się zabrać strugi światła, żeby nie pozbawić się szans w ewentualnej rozgrywce. On tu jest u siebie od tysięcy lat, ja tylko intruzem usiłującym zgłębić jego tajemnicę. Miałem nadzieję, że on nie wie, co to jest galopująca cywilizacja i że za mną zaraz mogą przyjść następni, z lepszymi światłami, a może nawet wydobyc go na światło dzienne, od czego podobno on zdycha, choć nikt jeszcze tego nie doświadczył a i ja nie miałem na to specjalnej ochoty. Mocowały się te ślepie z moją przygasającą latarką i raptem światło latarki zaczęło się rozjaśniać, a dystans między nami się zwiększał, albo oczy jego przygasły, aż gwałtownie znikł, a ja zostałem w nieprzeźroczyście chmurze mułowego. Zabrakło mi odwagi, aby posunąć się do przodu, gdzie jeszcze dłuż-

szy czas coś mułilo jakby ktoś dno zamiatł. Nie była to jakaś specjalna głębokość, ale i w dzień na 10-ciu metrach w Biebrzy nic nie widać. Wyszedłem na powierzchnię, omiotłem latarką wokół, dopłynąłem do brzegu, zdjąłem maskę i kaptur. Zgasilem latarkę, kompletna ciemność i coś niesamowitego w otoczeniu, zupełna cisza i duszna czerwcowo noc, potęgująca wyobraźnię. To ona pewnie powodowała takie napięcie, że płetwy zdjąłem dopiero na brzegu i nie plukając ani płetw ani skafandra powlokłem się do motoru przyrzekając że już nigdy nocą sam nie wejdę do wody. Na przyszłość również postanowiłem latarkę umieszczać na czole, aby ręce mieć wolne. I znów wróciło marzenie, żeby brać pod wodę kamerę lub prosty aparat fotograficzny, choćby po to, aby dokumentować, bo komu można bez narażania się na śmieszność o tym powiedzieć.

Zacząłem też nagabywać o „Bezdennika” starych biebrzańców, zawodowych rybaków, kłusowników i takich co to niewiadomo po co ciągle się po tej rzece włóczę. Wszyscy zgodnie mówią, że Bezdennik żyje tam gdzie dla zwykłego człowieka nie ma dna, a takich miejsc jest dużo w Biebrzy. Stąd jego nazwa. W każdej nadbiebrzańkiej wiosce chętnie ci pokażą gdzie nie ma dna i dlatego nikt tam się nie kąpie, tylko najodważniejsi przepływają szybko po powierzchni. Ale nie znalazł się jeszcze taki chojrak co by tam zanurkował na golasa, czy choćby zanurzył głowę, nie myśląc nawet o tym aby pod wodą utworzyć oczy, bo to właśnie przyczyna tragedii. Dlatego nikt go tak naprawdę nie widział, a ci co widzieli już tego nikomu nie opowiedzą.

Antek Niebrzydowski z Uścianka, który zawsze pływał w czapce lub berecie i do tego z papierosem w gębie, zapytany dlaczego, odpowiada: *żeby nie kusiło w wodę zaglądać, bo to nie twoja sprawa co się tam dzieje a jak się zagapisz, to zaraz Topielca albo sam Bezdennik capnie i po tobie.*

Heniek Piórkowski z Klimaszewnicy: *...a czego tam leż bez potrzeby, wystarczy ze siatke postawisz a on tobie rybów nagoni, to jeszcze jeden z drugim chciałby jemu do talerza zaglądać. Nie dziwota, że za leń bierze takiego, każdy, nawet Bezdennik, chciałby zjeść w spokoju. Ja tam wole z nim żyć w zgodzie...*

Kazik Ostrowski z Olszowej Drogi: *ja chyba nawet jego widział jak my z Franciszkiem Lewkowskim rybaczyli na Żaczkowie. Tam rzeka bardzo głęboka. Łapiąc na „przepływankę” zaczepili my o coś siatką na dnie rzeki, myśleli że to może bryła torfowa albo jaka kłoda po tratwach co tu pływały ale zaczęło nas ciągnąć z łódką pod prąd, tak ze 30 m.. Raptem coś przed nami wywalilo się do góry, czarne i mechate. Ale nie błyszczące, jak sum czy bober. I tylko krzaki po bokach poszli do góry jak po bombie i zamuliło całą rzekę na pół godziny, a my wyleźli na brzeg i bali się do domu rzeką wracać.*

Uścianek, 01 lutego 2012

Mirosław Kobeszko

Meandertalcyk Biebrzański

BEZ STAŁYCH, COMIESIĘCZNYCH KOSZTÓW!

OBSŁUGA BHP FIRM

SZKOLENIA - DOKUMENTACJA - DORADZTWO

BHP-TANIO.PL

511 797 444

10 % zysku z tej reklamy - na Psie Przytulisko Króla Biebrzy!

Jan Kudrewicz (1959-2017) od 16 roku życia zajmował się garncarstwem ludowym. Swoje umiejętności przejął od dziadka - Marcina Bartosiewicza i ojca - Waleriana Kudrewicza, znanego twórcy ludowego.

Był laureatem konkursów ogólnopolskich i regionalnych. Propagował tradycje garncarskie, udostępniając swoją pracownię w ramach Szlaku Rękodzieła Ludowego Białostoczczyzny.

Swoje prace prezentował na licznych wystawach, targach i kiermaszach - prowadząc pokazy wyrobu ceramiki siwej na kole garncarskim.

NIE ŚWIĘCI LEPIĄ GARNKI



fot P. Mecik - Archiwum Muzeum Podlaskiego

Jak jest droga od niepozornego kawałka ziemi do ślicznego dzbanka?

Specjalną, czystą glinę kopiemy na polu - z głębokości do trzech, czterech metrów. Wrzucamy przywiezione bryły do zbiornika, nazywanego kożuchem i składujemy - zalewając wodą, w której mokie całe tygodnie.

Potem przechodzi przez maszynę - żelazne walce gniołą grudy i kamienie, żeby była plastyczna. Wtedy można ubić z niej taki kłus - kopiać gliny, który przepuszcza się 2 razy przez tę maszynę, która gniece go i odpowietrza. Odrzucam kłus gliny - już czystej, bez zacczyszczeń i wyrabiam ją na ławie, jak drożdżowe ciasto.

Kiedyś nie było prądu, więc takie walce się kręciło kolbą, teraz mamy łatwiej. Gdzieś na pokazie, na jarmarkach, to tradycyjnie się kręci nogami. Tutaj mamy też koło elektryczne.

Potem przechodzi się na koło i kręci. Trzeba z tego kawałka gliny coś uformować. Za każdym wychodzi coś innego. Glina jest tak plastycznie wyrobiona, że spod rąk wychodzą różne cuda i kształty. Kiedy wyciskamy ją i podciągamy - rośnie na kole, jak na drożdżach.

Potem takim narzędziem palcami od środka wypycham, a innym nadaję kształt. Trzeba to wszystko robić z wyczuciem. Nie za mocno, bo się urwie lub spadnie. Możemy zrobić „maki-jaż” albo „pomalować” drapaną strukturę taką drucianą szczotką. Ale też delikatnie, żeby nie przeciąć. Potem przecieramy gąbką naczynie, żeby było delikatne i przyjemne w dotyku.

Kolejnym narzędziem robi się wzór, potem odcina tym drucikiem i zdejmujemy. Po wstawieniu na półkę, schnie przez kilka dni. Dlatego jest tutaj w pomieszczeniu trocinak - grzeje żeby było ciepło. Latem nie trzeba oczywiście palić, ale zimą porą musimy grzać pomieszczenie, bo ktoś by żywcem zamarzył.

Naczynia są różnokolorowe?

Te dzbanki, które są kolorowe - będą wypalane na ceglany kolor. Jeżeli chcemy zrobić naczynia szklawione, musimy je wypalić w kolorze naturalnym. Potem szklę się specjalnie jeszcze raz. Mamy piec elektryczny, w którym dwa razy się wypala i wychodzi kolor zielony albo brązowy - zależy od tego, jakie mamy szklawo.

Potem kompletuje się cały piec i trzeba naczynia oczywiście wypalić.

Gdybyśmy wleli wodę te, które są tylko wyschnięte, zamieniłyby się z powrotem w glinę zamieniło. Dlatego używamy pieców do wypalania.

Kiedy skompletujemy cały piec, przenosimy do niego dzbanki. Wchodzę do środka i ustawiam jeden na drugim. Nie ma tu żadnych półek i regałów. Każdą dziurkę, szparkę trzeba załadować. Każde miejsce, szczelinę się zapycha - żeby jak najwięcej miejsca wykorzystać.

Kiedy piec jest załadowany, zastawia się go ceglami do samej góry. Na dole są lufta, a od tyłu palenisko. Wypalamy piec przez 24 godziny, dorzucając stopniowo polan, aż osiągniemy temperaturę 1000 stopni. Chcąc uzyskać naturalny kolor, zatulamy piec blachą i stygnie on przez dwa dni.

U nas jest tradycja siwaków. Wypalając je nie otulamy pieca, zastawiamy od dołu deski, między które sypie się oraz ubija ziemię i zostawia 20 cm otwór na górze.

Na koniec dodajemy smolne drzewo - smolinę, smolniki z żywicznej sosny albo korzenie, czyli karpinę. Dorzucamy do pieca i szczelnie go zamykamy. Dym nie ma prawa wyjść bokiem, czy góra i wchodzi w glinę - na wylot. Jasne dzbanki siedzą w piecu 2 dni, siwaki nawet sześć - siedem dni.

Niektórzy myślą, że są one malowane, grafitowane. A to naturalny kolor, którego nikt nie zmyje, nie zdrapie, już będzie wieczne - na tysiące lat taki. Jeżeli chcemy z siwego zrobić jasny - musimy z powrotem wsadzić do pieca wsadzić i wypalić. Innej drogi nie ma.

Skąd Czarna Wieś Kościelna?

Czarna Wieś Kościelna i jej nazwa zaczęły się od tego, że tutaj dom w dom się wyrabiała dachówkę, cegłę i naczynia do codziennego użytku. Teraz więcej się wyrabia ozdobnych.

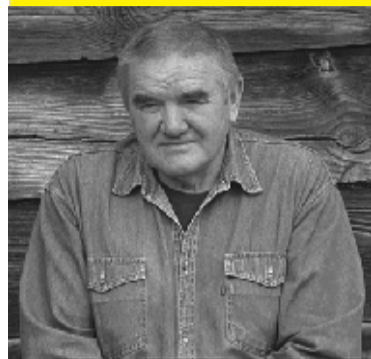
Czarna jest długą wsią i kiedy wypalało się piętnaście - dwadzieścia pieców, wydawało się, że cała płoń. Od tych dymów wzięła się nazwa miejscowości.

Historia wyrobów ceramicznych, sięga u nas XVII wieku, dzisiaj zostały już tylko 3 warsztaty.

Wiadomo, starsi ludzie odeszli, młodzi nie chcieli się uczyć. Widzieli, jak ciężko pracują rodzice. Zima, lato - na okrągło, ręce mokre. Poszli więc na lżejszy chleb do powstających w oko-

Daj mu Panie pokój... z widokiem na Biebrzę...

27 marca 2012 r. odszedł Wiktor Wołkow



Nikt tak jak Wiktor nie zdeptał Bagien Biebrzańskich. To Tobie zawdzięczamy kilkanaście tomów fotograficz-

nych, na temat przyrody i ludzi Podlasia, a szczególnie Twojej i naszej ukochanej Biebrzy.

My, jako pracownicy Biebrzańskiego Parku Narodowego jesteśmy Ci szczególnie wdzięczni za pejzaże, ptaki, albumy, wystawy, pokazy, dzięki którym ludzie z niemal całego świata mogli poznać i podziwiać uroki tego najpiękniejszego - jak sam mówiłeś - miejsca na świecie.

Tobie jako pierwszemu wręczyliśmy "Złotą Kartę Wstępu" do Biebrzańskiego Parku narodowego, za wybitne i trwale popularyzowanie unikalnej przyrody oraz dziedzictwa kulturowego Bagien Biebrzańskich.

Dzięki Tobie poznawaliśmy Biebrzę, której sami nie znaliśmy, z ziemi i powietrza, o świcie i zmierzchu, słoneczną i pochmurną, podczas wszystkich pór roku.

Wiktorze, Biebrza właśnie puściła, przyleciały pierwsze bociany, losie wracają na bagna, podziwiamy niepowtarzalny błękit rozlewisk z Burzy- na i Strękowej Góry. Niestety, to pierwsza wiosna, której zabraknie na Twoich zdjęciach.

To pierwsza wiosna, którą witamy ze smutkiem i żalem po stracie wielkiego Przyjaciela Biebrzy i Mistrza Fotografii.

Podczas Twego ostatniego lotu w wieczność, będziemy Ciebie wypatrywali wśród ptaków nad Biebrzą.

Andrzej Grygoruk

Wiktor Wołkow - ... wyruszę pod koniec marca...

...tak się ostatnio umówiliśmy. Czekałem cierpliwie i byłem pełen nadziei choć komunikaty lekarskie przerażały. Wyruszył sam, ale niedaleko, tylko za firankę delikatną, tiulową przez którą patrzył całe życie na tamtą stronę, nam niedostępną. Zawsze miałem wrażenie, że jego obiektyw prze- bija jakąś błonę oddzielającą dwa światy, pozornie jednakowe. Wtopił się wreszcie w naturę do której dążył uparcie pod przykrywką robienia zdjęć. Nie wszyscy mieli szczęście to zrozumieć. Zdjęcia robione obiektywem Wołkowa mają w sobie spokój naturalny, nastrój chwili tam właśnie panujący.

Ten lokalny czy może terytorialny patriotą nie nosił zegarka i dlatego miał więcej czasu (ja uważam, że cierpliwości) jak mawiał, na swoje misteria fotograficzne, które często omawialiśmy na ganku domku w Uścianku, gdzie często wypijał pierwszą poranną herbatę, ponieważ jego dzień zaczynał się jeszcze nocą. Mało kto jednak wie, że był pierwszym białostoczaninem, który próbował z powodzeniem robić zdjęcia pod wodą, stąd nasze pierwsze znajomości. Ja byłem

wtedy na etapie ślepej fascynacji nurkowaniem a on ten cudowny świat potrafił już zrozumieć a nawet utrwalić.

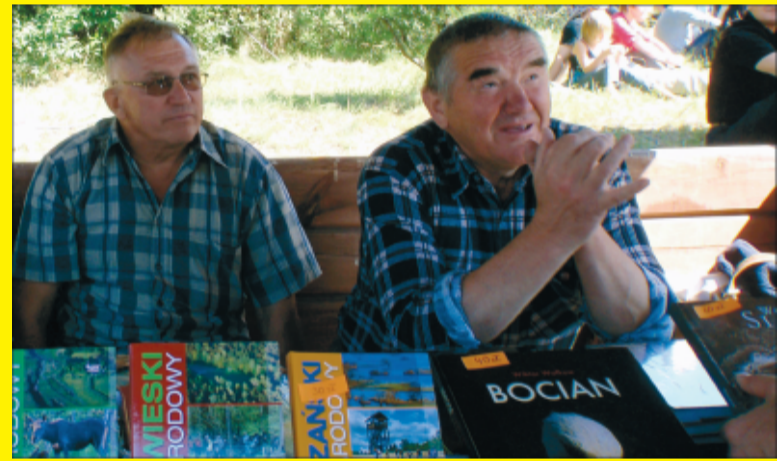
Zamienił życie na fotografię bez udawania i ozdobników. Fotografował tylko czyste, często siermiężne życie, dostrzegając w nim to co inni dopiero mieli zobaczyć po latach. Nigdy nie wybierał mniejszego zła, zło nie istniało i tu się zgodziliśmy. Jego spokój pogoda ducha były wręcz zaraźliwe, on widział dobro przez swój czaro-

dzieski obiektyw, a ja przez wrodzoną naiwną ufność. Różniliśmy się cierpliwością, której ja nigdy nie miałem, ale może właśnie dzięki temu jeszcze się spotkamy. On będzie cierpliwie czekał ja będę gwał na złamanie karku, jak najprędzej za tą samą delikatną tiulową firanczkę.

Z biebrzańskiego biotopu zginął cały gatunek, którego był jedynym przedstawicielem. Pozostali tylko „pstrykacze.”

Uścianek 31 marca 2012

Meandertalczuk Biebrzański



Jeszcze jako dziecko zetknęłam się z twórczością Wiktora Wołkowa...

w domu na strychu wśród wielu innych książek natknęłam się na potężny (tak mi się wtedy wydawało) album... w czerni i bieli... gdzie znalazłam ukochane konie... krowy... stogi i drogi... gdzie były wrony, krzyże i płoty... Ten czarno-biały świat pochłaniał mnie na wiele godzin... fascynowały chwile zatrzymane w kadrze... przerysowywałam je długopisem na deseczki wyproszone u stolarza... i zawsze drażniło mnie to... że moje rysunki nie są tak doskonale jak te fotografie - marzyłam, że kiedyś... kiedyś i ja pokażę, to co kocham w takich barwach... że zatrzymam chwile dla mnie najcenniejsze - by do nich wracać i cieszyć się wspomnieniami... wiem... że jeszcze czytać nie umiałam, bo treści nie pamiętam z tego czasu... a może obraz był dla mnie najważniejszy... Album ten stał się moim skarbem ukrywanym gdzieś w strychowych zakamarkach... by nikt nie odebrał mi tego świata... i towarzyszy mi do dziś... już bez okładki papierowej... ale tkanina i wypisane jakby ręcznie WOLKOW jest dla mnie pamiątką - wspomnieniem dzieciństwa... i marzeń o fotografii... które zaczynam realizować dopiero teraz... również... jak mój autor marzeń z dzieciństwa - na filmie...

Jego poznanie było dla mnie ogromnym przeżyciem... był dokładnie taki... jak wyobrażałam sobie w dzieciństwie... wielki... nie tylko posturą... ale i duchem... w jego obecności zawsze stawałam się dzieckiem... które ma marzenia... dla mnie Wołkow był... jest i będzie... jak czas... obecny i bez końca... w każdym koniu, krowie, płocie, wronie i krzyżu... w każdej drodze polnej i stogu siana... w każdej ludzkiej wiejskiej twarzy...

Agnieszka Zach

(www.biebrzanskawiedzma.pl)

Wiadomości Lokalne - kwiecień 2012

licy zakładów pracy.

Jeszcze kilka lat i tylko wspomnienie zostanie, że w Czarnej Wsi Kościelnej wyrabiała się ceramika.

Żona wprawdzie nauczyła się garncarstwa na warsztatach, które u siebie prowadziłem, ale dzieci na razie nie - bo to same dziewczyny. Może kiedyś ktoś będzie coś lepił. Szkoda by było, gdyby zniknęła kilkusetletnia tradycja.

Jana Kudrewicza - jednego z ostatnich mistrzów Podlasia - wysłuchaj przy garncarskim kole

Krzysztof Pochodowicz

(Wiadomości Lokalne - październik 2013 r.)

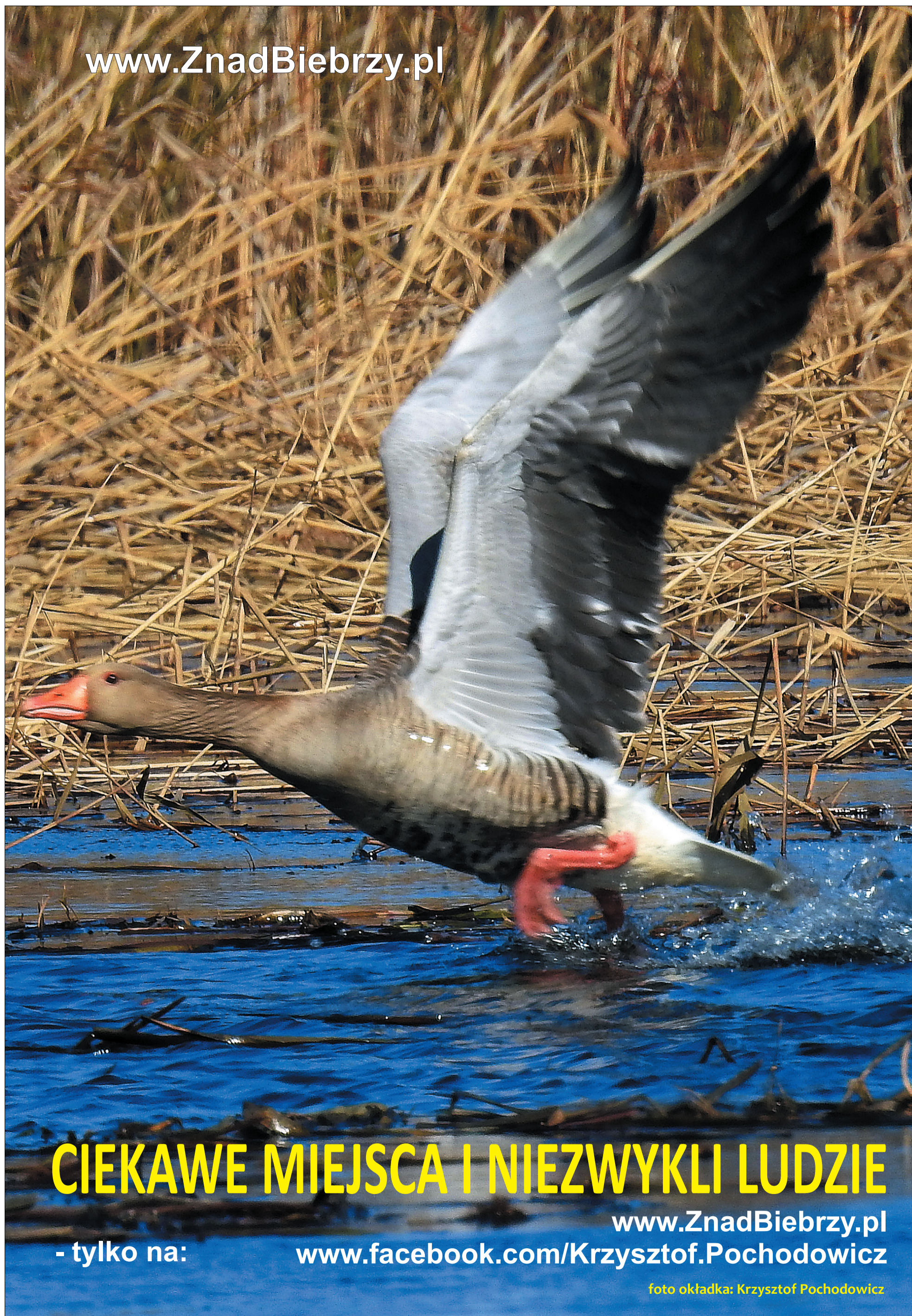
CIEKawe MIEJSCA I NIEZWYKLI LUDZIE

- tylko na: www.ZnadBiebrzy.pl



foto: ZnadBiebrzy.pl

www.ZnadBiebrzy.pl



CIEKAWE MIEJSCA I NIEZWYKLI LUDZIE

- tylko na:

www.ZnadBiebrzy.pl
www.facebook.com/Krzysztof.Pochodowicz

foto okładka: Krzysztof Pochodowicz